

Jerzy Benjamin Zimny

Spowiedź białej owcy

W maju otrzymałem więcej przesyłek niż zwykle, a w nich kilka bardzo ciekawych książek poetyckich. W tym sporo debiutów, ale o debiutach nie będę się wypowiadał, powiem jedynie tylko tyle, że rok 2013 – rok znakomitych debiutów, tak szybko się nie powtórzy. Przybyła i Jurczak potwierdzają jedynie regułę, są wyjątkami, ale większe znaczenie dla debiutanta mają jego kolejne książki, potwierdzające lub nie – udany, zauważony przez środowisko literackie, debiut?

Dominik Żybertowicz, po „Żaglowcach” (nomen omen „Żeglarz fenicki”) „wyskoczył” w kosmos, bynajmniej nie przy pomocy żagli. Nie posłużył się też rakieta, jego „Spaceboy” miał za zadanie penetrować Kosmos z Ziemi w pozycji sternika posługującego się złotym „seksstansem”. Biologia, botanika, nawet terminologia z biochemii, potem język cyfrowy – to już było w debiutach ostatnich kilku lat. Kosmos, to też bardzo wdzięczny temat, bo dźwięczny w wyrażaniu stanów i figur stylistycznych. „Spaceboy” jednak stąpa twardo po ziemi, po obłokach ziemi, które sam wymyślił na potrzebę kamuflażu swojego podmiotu lirycznego. Podmiot rodzaju męskiego posługującego się językiem naszpikowanym terminami technicznymi. Powtarzają się te rekwizyty, co może sugerować pewne ograniczenia wiedzy, nie tylko na temat kosmosu. Za to składnia nie budzi już takich podejrzeń – poeta z Drawska długo pracował nad własną dykcją, jego debiut blisko pięć lat dojrzewał i krążył po warsztatach poetyckich. Druga, omawiana obecnie książka, została okrojona do 33 wierszy podobnych wartości, dopracowana w każdym szczególe. Stanowi pomost do kolejnej, której brudnopis poeta dołączył do przesyłki, z zamiarem wykorzystania mojej cierpliwości, jaką żywię do poetów, którzy ograniczają swój publiczny wizerunek do publikowanych wierszy. Rzadkość to dzisiaj.

Poetycki dramat na stronach książki Żybertowicza, a może dramat autora skrywany pod płaszczykiem kosmicznych mrzonek, z których nic kosmicznego nie wynika, raczej gorzki smak rodzinnej ziemi? „Kolorы owoców”, wiersz otwierający tom, można przyjąć jako prolog tego dramatu zawieszzonego między „Jeźcjadą” Pułki, a „Clubbingiem Brewińskiego”. Mistrzostwo w tworzeniu zabójczych metafor, tego Żybertowiczowi nie można odmówić: *Wieczór ma smak kradzionej truskawki w ustach zachodu /.../. Droga do domu poci się w połączonych dłoniach /.../*

Jakby na moment odrodzili się moi wielcy koledzy, w tych kilku, jakże porywających za serce metaforach, które uniknęły w cudowny sposób – patos. Poeta z Drawska usilnie pracuje nad tym od początku, górnolotności potrafił uniknąć nawet w penetrowaniu kosmosu i wyrażaniu blasku na wyso-

kościach: *Dzisiejszej nocy zamieszkać w kosmosie / jako mgławica albo niegasnący piorun / Będę tańczył, krążył, zmieniał kolory / Lecząc przede wszystkim szukał / twojego snu, który jest pulsarem / za tysięczną pierwszą galaktyką /.../*

I nie jest to baśń z tysiąca i jednej nocy, ale z pewnością stan podmiotu daleki od równowagi zmysłowej. Trudno określić czym został zdominowany, taki a nie inny stan wyrażania uczuć do tajemniczej Chuchanny. Czy tylko w mrzonkach można odnaleźć to, czego mimo wielu wcieleń nie można doświadczyć na Ziemi? A czego można doświadczyć będąc pośród rodowych korzeni? Geny i krew o niczym wielkim nie przesądzą, wielkie wiersze można pisać na odludziu, wyobraźnia jest kosmicznym paliwem, w przypadku Dominika jest jeszcze coś więcej pędnego: */.../ Bo istnieje jeszcze świat ogromny / wiem o tym ze snów /.../ Świt to biała róża / co uderza w Atlantyk /.../ Pęd anielski wylaniający się z oparów burzliwej wyobraźni, która ani na moment nie zdradza obłądu?*

I tutaj moje rozważania o poezji Żybertowicza stanęły w miejscu, nie na rozdrożu, ale w trakcie marszu nieziemską aleją, mimo że tropy na niej i towarzyszące po drodze obiekty, przypominają do złudzenia miejsca dorastania autora. Analogia do Grzybowa – miejscowości położonej niedaleko Kołobrzegu, gdzie w podobny sposób budował swój poetycki świat Wojciech Edward Czerniawski. Obu poetów dzieli pół wieku i kilka „epok” poetyckich, dwie lub trzy generacje, ale nie dzieli ich poetycki warsztat, w odkrywaniu genialnych metafor są sobie równi. Fakt, w poezji Dominika aż się roi od odkrywanych metafor, plastyczne, w większości bezbarwne, czarne lub białe plamy – w wyobraźni czytelnika nabierają koloru – i to jest najistotniejsze w tej poezji jakże uciekającej od czytelnika w sposób niezrozumiały. Podmiot, chyba sam autor pragnie wymazać z pamięci chwile, które skutkują w jego dorosłym życiu. Uwolnić się od nich, to zapomnieć o poezji, spokój tak oczekiwany przeraża się w niepokój podobny do ciszy różnikowej albo kosmicznej pustki: */.../ niekończącej się nieobecności /.../*

W kilku wierszach pojawia się ten temat w sposób niepokojący o kondycję fizyczną i psychiczną podmiotu. Dorastać do śmierci czy dojrzewać do obrony przed nią? Ale jakże sobie z tym poradzić, skoro: */.../ Aniele boży / skąd przybyli ci ludzie? Od kiedy jestem bezdomny / niewidzialni będą cię nękać / alarmy wyć będą / Ty nie wiesz, widzieć nie możesz /, że każdy z nich to moje cierpienie / moje samobójcze myśli.*

O nic nie pytam i niczego nie sugeruję, „życiopisanie” – najbardziej odpowiednie określenie, ale jak długo? Przeczucie czytel-

nika nie jest równoznaczne z przecuciem autora, choćby w wierszu pod takim samym tytułem: *Wiosna, kropelki przyszłości w moich oczach / – w powietrzu / Rozumiesz? – pyta życie / Rozumiem odpowiadam, / wchodzę / Przez rok / może dłużej / – w tym miejscu.* Wiersz pochodzi z 2012 roku, więc „może dłużej” trwa nadal i oby potrwało jeszcze wiele, wiele lat?

„Spaceboy” to książka przemyślana kompozycyjnie od początku do końca. Przy czym nieład, jaki tu panuje pod względem uporządkowania treści jest przez autora zamierzony. Bo jeśli wszystko jest sztuką – dowolne wyrażanie jej w sposób jeszcze bardziej dowolny – to Żybertowiczowi nie pozostało nic innego, jak tylko pogodzić surrealizm z dadaizmem, w okresie, kiedy realizował bardzo ambitną kreację „Spaceboya”. Bo „Żaglowce” były próbą znalezienia obszaru, w którym można poruszać się językowo w sposób dowolny, ale nie obojętny pod względem semantyki i ontologii? Jest jeszcze istotny szczegół przyświecający poecie w kreowaniu własnej przyszłości. Otóż śmierć dotyczy wszystkich wokół, poeta, artysta nawet nie muszą o niej myśleć, albowiem jej postacią jest tak samo niezidentyfikowana jak dzieło sztuki. Więcej, sztuka nie wymaga wysiłku, każdy twór nawet niedoskonały jest sztuką? Tutaj Żybertowicz pokazał się, jako przezorny zjadacz chleba powszedniego, nieufny wobec swojej twórczości tak często uciekający do śmierci obcych, bliskich mu osób, kolegów, a partia szachów zawsze kończy się patem, nawet nie remisem, dlatego dadaizm nie przyjął się jako kierunek sztuki, nawet idea swobodnego wyrażania, legła u podstaw nihilizmu? Tego spodziewa się poeta z Drawska Pomorskiego, wielki poeta prowincji próbujący zwieść czytelnika swoją wiedzą o nieskończoności. Najpierw wmawia czytelnikowi, że życie ma barwy owoców, potem próbuje zdefiniować odległe nasze kosmiczne otoczenia, potem informuje skąd przybywają komety, refleksyjna mgławica Irys, sugeruje istnienie kosmosu równoległego, nawiązuje do galaktyki wspomnień a na koniec tworzy na potrzeby dadaizmu – czarną dziurę „przemienienia”, odgraniczającą wymiary czasu i przestrzeni wielką szczeliną, z której wyłoni się nowa kometa? Koniec wieńczy dzieło, śmierć nie niweczy dzieła, ale pytanie pozostaje, nie da się uniknąć przeznaczenia, niezależnie od wieku i kondycji, koniec zawsze jest bliski: *czy to już koniec? / wszystko się wydaje płynne / doszedłem tam / gdzie trwa bajka / woda. woda /.../ samochody płyną jest krew pijaka /, ale jest światło / ten wiersz.* Doszedłem tam, gdzie trwa bajka, alkohol działa jak balsam i wtedy jedynym światłem jest ten wiersz?

Katastroficzny obraz własnego świata wynika z rimbaudowskiej deklaracji samo-